Nr. 2. Lwów, dnia 18. lutego 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Lwów, pl. Marjacki 6.

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony.

KONKIETA.

SZKIC

przez **GABRYELĘ ZAPOLSKĄ.**

(Ciąg dalszy).

Ale — nie stracił jej z myśli.

Ciągle była przed nim w tej dekoltowanej różowej sukience — pachnąca pudrem, przesiąknięta wonią kulis — tajemnicza, pełna uroku.

Aktorka!...

Tak — to jedyna konkieta, godna pana Radziechowskiego. — Taka kobieta połączy w sobie wszystko: szyk, wdzięk, elegancję... przytem wiele zachodu nie wymaga zdobycie takiej damy. — Szczęśliwa będzie, że on zwrócił na nią uwagę. Zakocha się w nim z pewnością.

Biedactwo!... już pan Radziechowski rozczula się nad jej losem — ale zaraz chce być wspaniałomyślnym. Choć nie ma zamiaru kochać się w tej aktorce, to przecież z grzeczności, z delikatności uda, że myśl o niej spać mu nie dawała. — Powie jej to, gdy do niej pójdzie. Przedtem jednak zasięgnie wiadomości, dowie się „co o niej mówią“ na mieście.

Zawsze lepiej wiedzieć, z kim się ma do czynienia — myśli, wchodząc do cukierni Branieckiego.

Gwar, hałas, krzyk — ciemno od papierosów, różowo i biało od cukierków i ciastek.

Znajomych nie brak.

Siedzą pochyleni nad filiżankami kawy i strzępami dzienników.

Od razu, bez długich wstępów, pan Radziechowski rzuca nazwisko Łukowiczówny.

— Phi!... tak — mój Boże... ot — jak inna. Podobno tam coś tego w Krakowie, no i tu... zresztą... co tu o tem gadać...

Jeden nawet dodaje szyderczo.

— Och! Felka!...

Radziechowski zbliża się ku niemu silnie zaciekawiony.

— Pan ją zna bliżej?

— Ho! ho!

— ???

— !!! —

— A!...

Chwila milczenia, wreszcie młodzieniec dodaje niedbale.

— Dobra dziewczyna... tylko ma jedną wadę.

— Jaką?

— Zanadto lubi szampana.

Pan Radziechowski chce protestować. Przypomina sobie bowiem, że Łukowiczówna na bankiecie odsunęła od siebie „boski nektar“ uwiedzionych szwaczek — ale równocześnie przychodzi mu na myśl owo niedbałe „jak kiedy!“ i milknie. Tymczasem — podniecony młodzian snuje dalej swe zwierzenia.

— Ach! szampanowaliśmy nieraz w Grandzie do dnia białego... Czasem u niej!

— Pan u niej bywałeś?

Młodzian wykrzywia się ironicznie.

— Spodziewam się. Mieszka szykownie — me-

ble phi!... nieźle — nieźle... Bez szampana pokazywać się tam nienależy.

Radziechowski przypomina sobie znów, że Łukowicz mówiła mu, że mieszka skromnie.

— Więc tam u niej szyk? — pyta natarczywie.

— Spodziewam się! — odpowiada młodzian — sześć pokoi, lokaj, w jadalni kredens jak dzwonica — dywany wszędzie — świece panie w kandelabrach — je na srebrze i ma trzy fotele na biegunach. Jak Boga kocham!

Urywa — potem dodaje niedbale:

— Mieszkanie dobre, tylko rozkład zły. Dwa wyjścia... powinno być przynajmniej ze trzy. Dziwi mnie nawet, że taka sprytna kobieta, a tak się źle urządziła...

Pan Radziechowski nie pytał już o nic więcej. Jeżeli konkieta aktorki przedstawiała mu się więcej, niż ponętnie — to w tej chwili urosła do wspaniałych rozmiarów.

To srebro, świece w kandelabrach, lokaje, dywany — słowem szyk, imponowały mu i ciągnęły, jak światło motyla. Zostać kochankiem takiej kobiety, zachwycało płaski umysł Radziechowskiego.

To już nie zwyczajna konkieta.

To już europejska — konkieta.

Postanowił iść zaraz, dziś jeszcze, nie tracąc ani chwili.

Ogarnęła go gorączka.

I on chciał mówić jak ów młodzian:

— Szampanowaliśmy u Felki!

Należało więc kupić cukierków, szampana, bo jakże z próżnemi rękami pokazać się u takiej wykwintnej damy.

Powstał więc z ostentacją i podszedłszy do bufetu, kazał sobie podać pudełeczko cukierków. Zapragnął jednak, aby wszyscy wiedzieli, gdzie idzie i komu da te cukierki.

Pochylił się więc ku młodzianowi i zapytał poufnym tonem, ale dość silnym głosem:

— Nie pamiętam, jakie ona lubi cukierki?

Młodzian, który przeglądał właśnie podarte w strzępy dzienniki, aż podskoczył.

— Kto?

— No... Łukowiczówna. Felka...

— A!... ma parole — zapomniałem. Zdaje mi się owoce i to przeważnie orzechy... Tak! tak...

Potem dodał z poufną miną:

— Pan tam idzie?

Radziechowski udał ziewanie.

— Pójdę! Może powiedzieć jej co od Pana?

Lecz młodzian zmięszał się trochę.

— Nie! nie! — wyrzekł pospiesznie — po co? my jesteśmy ze sobą nie dobrze... ona nawet się nie przyzna do mej znajomości. Najlepiej, niech pan nie wymawia nawet mego nazwiska przed nią...

Radziechowski wyszedł. — Chłód panujący na ulicy nie ostudził jego zapałów. Adres Łukowiczównej znał od dawna. Idąc winszował sobie, że powziął to postanowienie. Zdawało mu się, że dobija wreszcie do jakiegoś portu. Przytem już kupił cukierki. Nie mógł się cofać. Pan Radziechowski bowiem był systematyczny i nie pozwalał sobie na próżne wydatki. Należało teraz tylko kupić szampana. Lecz ile? — dwie butelki chyba, skoro jest w domu kredens, jak dzwonica i lokaje. Lecz porządna marka kosztuje...

— E, na początek kupię jedną butelkę. Zobaczymy, co będzie dalej.

Będąc już w sklepie, pan Radziechowski uniósł się wspaniałomyślnością.

Kazał zawinąć jeszcze dziesięć sztuk mandarynek.

Te małe, delikatne owoce imponowały mu zawsze i budziły w nim arystokratyczne dążności.

— Niech zna pana! — myślał wychodząc ze sklepu z podbójczą miną eleganckiego urwisa.

* * *

— Tu mieszka panna Łukowicz?

— Tu... ale nie ma pani w domu.

— A prędko wróci?

— Bo ja wiem — poszła na próbę i zatrzymało ją tam co w mieście.

Chwileczkę pan Radziechowski się waha, ale wreszcie dodaje.

— Ja zaczekam...

I widząc niezdecydowaną minę obdrapanej sługi, dodaje z wielką pewnością siebie:

— Pani mnie prosiła, ażebym dziś przyszedł, a jeśli jej nie będzie w domu, ażebym zaczekał.

Sługa podciąga opadający fartuch i wprowadza gościa — do... salonu.

Radziechowski wchodzi — i nie zdejmując palta, zatrzymuje się na środku pokoju.

Jest to niewielki pokój o jednem oknie, umeblowany tak skromnie, jak tylko może być umeblowany pokój sprzętami, widocznie wypożyczonemi z jakiegoś żydowskiego składu starzyzny.

Szafa — po za nią źle ukryte kosze z garderobą teatralną — rodzaj kanapy wypchanej sianem, którego woń rozchodzi się w powietrzu — dwa „karły“ kryte wytartym kretonem — toaleta opięta firanką i przyozdobiona różami z niebieskiego perkalu — umywalnia biedna i zamykana i łóżko, po nad którem zwiesza się dość pretensjonalnie pawilon z tanich gipiurowych firanek, podpiętych niebieskiemi wstążkami.

Przed łóżkiem wytarty dywanik, na nim para zielonych atłasowych pantofelków, zniszczonych, scenicznych — widocznie służących Łukowiczównie obecnie do domowego użytku.

Na stole lampa — biedna, naftowa lampa tania i taka, co to „niedużo wypala nafty“. — Obok porzucona rola, jakaś książka i kawałek koronki.

Pan Radziechowski doznał wrażenia, jakby go oblano zimną wodą.

Gdzież owe kobierce, lokaje, kandelabry, kredens, jak dzwonica? — Gdzież ten szyk? ta instalacja, o której mówił młodzian w cukierni? — Nietylko nie było szyku — ale tu z kątów wyzierała bieda, troska o zejście się dochodów z rozchodami, wyliczenie, ile bułek wychodzi dziennie i gdzie można taniej dostać kawałek atłasu na miesięczną rozpłatę.

Pan Radziechowski zrozumiał to i odczuł w jednej chwili — jakkolwiek sformułować całego sądu jeszcze nie mógł. Czuł tylko, iż w tej chwili popełnił jakąś pomyłkę i stał tak na środku pokoju z paczką pomarańcz i pudełkiem cukierków w ręku, nie śmiejąc się poruszyć — lecz nie chcąc wyjść i opuścić zdobytej, jak mu się zdawało, pozycji.

Jak długo tak stał — nie wiedział sam.

(C. d. n.)

TAJEMNICZA ZBRODNIA.

ROMANS

Eugeniusza Chavette.

(Ciąg dalszy).

Odkładając na później opowiadanie o rzeczach poprzednich, nadmieniamy, że Cezar Desormeaux miał wrażliwość nieco przez życie stępioną.

Wszelako dowiedziawszy się o śmierci nagłej a gwałtownej tej czarującej istoty, którą w przeddzień jeszcze widział pełną młodości i siły, nie mógł powstrzymać okrzyku litości.

— O! nieszczęśliwa!. I cóż to za nędznik ten, którego oskarżają o zbrodnię?

Odźwierny wyciągnął ramiona, wzniósł ręce ku niebu i odpowiedział tonem ostrożnym:

— To jeszcze nie wiadomo. Jedni mówią jedno, drudzy drugie.

— Co to za jedni, co za drudzy?

— Sąsiedzi, służący, kominiarz, sędzia, agenci...

— To już sąd schodził?

— Tak, panie, o godzinie ósmej z rana. To ja poszedłem uprzedzić komisarza, skorom się tylko dowiedział sam o tej nowinie od pokojówki pani Dargon. Eudoksja, kiedy usłyszała o tem, a właśnie piła czekoladę, o mało co nie zemdlała ze strachu.. Jeżeli dotychczas nie miałem jeszcze zaszczytu przedstawić jej panu, to dla tego że śpi w naszym pokoju.

Te szczegóły o stanie zdrowia biednej Eudoksji pozostawały obojętnymi dla młodzieńca, u którego nad krótkotrwałem rozrzewnieniem, doznanem z powodu śmierci ładnej pani Dargon, zapanował już egoizm.

— Ja — rzekł — nie widzę przeszkody, dlaczegobym z powodu tego zdarzenia dramatycznego, nie miał zająć mego mieszkania. Teraz mamy 10 go, a do terminu wynajęcia brak jeszcze pięciu dni, czyli że śledztwo może być aż nadto dobrze przez ten czas skończone... Ciała nieboszczki nie można tak długo trzymać tam, na górze.

Na te słowa Ignacy pokiwał głową i rzekł:

— Ciała tam wcale niema.

— To sąd kazał już je zabrać?

— Nie, panie. Przypuszczają, że winowajca, po morderstwie, chciał zupełnie usunąć dowód zbrodni, zabierając trupa ofiary.

Odźwierny mówił prawdę, bo oto co się stało: O godzinie siódmej z rana kucharka i pokojówka pani Dargon, które spały na poddaszu, zeszły ztamtąd i zaczęły się krzątać koło domowego gospodarstwa.

Dla kucharki służba rozpoczynała się od przygotowania filiżanki kawy czarnej, którą zwykle zanosiła panu do pokoju, gdzie zawsze był już na nogach, wcześniej wstając od żony. Wszedłszy z filiżanką w ręku do pokoju pana, kucharka nietylko zobaczyła, że pana Dargon niema, ale zauważyła zarazem wielki nieład w pokoju.

Łóżko nietknięte świadczyło, że małżonek wcale się spać nie kładł, a nadto wszystkie szuflady w meblach były powyciągane i wypróżnione z całej zawartości. Na podłodze leżały porozrzucane ubrania, ale same tylko stare lub wyszłe z mody, co dowodziło, że dlatego je przetrząsano, ażeby wybrać z nich nowe i zabrać. Pierwszą myślą kucharki było, że jej pan wybrał się na jakąś wycieczkę, a że mu śpieszyło się, więc nie miał czasu zrobić porządku Ponieważ nieobecność pana Dargon i zniknięcie walizy, która w przeddzień jeszcze stała w kącie pokoju, pzemawiały dostatecznie na rzecz przypuszczenia co do podróży jej pana, kucharka miała już opuścić pokój, gdy widok niespodziewany sprawił jej straszną niespodziankę. Na samym środku drzwi, oddzielających pokój sypialny męża od sypialni żony widać było ślad zakrwawionej ręki.

W chwili gdy kucharka ujrzała ten złowrogi znak, usłyszała jednocześnie pełen przerażenia głos pokojówki, zajętej na drugim końcu mieszkania.

Skutkiem odejścia Stanisława, który, jak wiadomo opuścił swe miejsce już wieczorem, pokojówka przedsięwzięła sprzątanie przedpokoju. Przy trzeciem posunięciu szczotki po podłodze, zauważyła, że zostawia ona po sobie wilgotne ślady, a gdy się schyliła, ażeby się przyjrzeć, co to jest, zobaczyła parę strużek czerwonych, pochodzących z korytarza, którędy się wchodziło do przedpokoju. W przedpokoju znowu struga krwi, i to, obok drzwi, wiodących do buduaru. Służąca zapukała do pokoju pani Dargon; nikt nie odpowiedział. Wtedy przestrach obie sługi jeszcze bardziej ogarnął. Przywołano policję. Komisarz przybył z policjantami i ślusarzem, drzwi od pokoju pani Dargon wyważono. Pokój był pogrążony w ciemnościach, skutkiem zapuszczonych rolet i gęstych firanek przy oknach. Rozwidniwszy pokój, komisarz, daremnie szukał w nim śladu mieszkanki. Umarła czy żywa, pani Dargon nie była tutaj, a łóżko nietknięte świadczyło, że się nie kładła spać. Fakt, który wywołał zniknięcie, nastąpił zapewne w pierwszych godzinach nocnych, kiedy zamierzała udać się na spoczynek, bo w garderobie, do której zajrzał komisarz, rozstawione były szczotki, flakoniki, i miednica była pełna wody, zatem pani Dargon musiała się przebierać, przed pójściem spać. Po tej uwadze komisarz wrócił do pokoju sypialnego, ażeby zająć się szczegółowemi oględzinami.

Nic tutaj nie zdradzało strasznej walki między ofiarą i mordercą. Wszystko w tym pokoju, pełnym przepychu, obfitującym w tysiące cacek, znajdowało się na swojem miejscu.

Tylko ciężka i szeroka szafa hebanowa otwarta, pozwalała widzieć wiszących w niej z pół tuzina wspaniałych sukien. Stan garderoby i ta otwarta, szafa z ubraniem, na chwilę wzbudziły w komisarzu podejrzenie, że pani Dargon, zamiast położyć się do łóżka, wybrała się na wycieczkę nocną. Ale przeciw temu podejrzeniu walczyła struga krwi w przedpokoju i odciśnięcie ręki krwawej na drzwiach. Inny dowód nie omieszkał prędko przekonać urzędnika, że zbrodnia została popełniona. Chcąc otworzyć szkatułkę wytwornej roboty, na której leżał kluczyk, poczuł coś lepkiego na tym kluczu. Była to na wpół skrzepnięta krew. Bezwątpienia, ręka mordercy otwierała tę szkatułkę i komisarz przekonał się o tem, otwierając ją. Kradzież nastąpiła więc po zbrodni, bo ślady krwi widniały liczne na deseczce przegródki, gdzie leżało jeszcze nieruszonych kilka luidorów, które zapewne uszły przed uwagą mordercy.

Kto był tym winowajcą?

Nieobecność męża, a zwłaszcza nieład w jego pokoju, gdzie cała odzież rozrzucona była po podłodze, dowodziły, z jakim pośpiechem pakował walizę i pozwoliły podejrzewać śpieszną ucieczkę.

Po zebraniu tych pierwszych wskazówek, komisarz zawiadomił sąd, zkąd delegowany został niezwłocznie sędzia śledczy. Sędzia przybył na godzinę przed przyjściem Cezara Desormeaux.

Takie było opowiadanie stróża, które młodzieniec wysłuchał bardzo uważnie.

— Więc to pana Dargon oskarżają o zabicie żony? — zapytał.

— Tak, panie, i o zabranie trupa.

— Jakto! to w waszym domu, Ignacy, wchodzi się i wychodzi w nocy, jak kto chce, a ty nic nawet nie podejrzewasz!

Odźwierny uczuł się znienacka zaskoczonym i odrzekł tonem płaczliwym.

— Eudoksja i ja śpimy trochę, wieczorem. Z tego może kto skorzystać; kucharka biednej nieboszczki,

obudziwszy mnie z rana, powiedziała mi w zaufaniu, że, popchnąwszy okno w drzwiach izdebki, można łatwo dostać ręką sznur, otwierający bramę.

— I wyjść niepostrzeżenie.

— Tak, panie. I tak musiał zrobić pan Dargon, wynosząc swą ofiarę.

Cezar wstrząsnął głową powątpiewająco.

— Bardzo dziwne rzeczy mi opowiadasz, mój Ignacy.

— Czyżby mnie pan uważał za wspólnika — zawołał Ignacy z przestrachem.

— Posłuchaj tylko... Wczoraj widziałem pana Dargon, i nie wydał mi się wcale atletą... Że mógł wynieść walizę, na to się jeszcze zgadzam... Jeżeli niezbyt ciężka, mógł jej podołać.. ale gdzież mu było udźwignąć ciało kobiety i znieść je zwłaszcza z dwóch pięter... Musiał mu więc pomagać wspólnik..

— To samo sędzia śledczy powiedział przed chwilą, wypytawszy pokojówkę o pana Dargon.. to też podejrzewają już kogoś...

— Kogóż więc?

— Stanisława. Wie pan, tego służącego, który panu pokazywał mieszkanie wczoraj Jego odejście ze służby na krótko przed zbrodnią, wydało się podejrzanem sędziemu.. Ja myślę, że policja go już szuka.

ROZDZIAŁ II.

Pomimo obawy, wyrażonej przez Ignacego wobec pana Desormeaux, że wypadek dramatyczny nie pozwoli może na oddanie mu mieszkania w dniu 15. lipca, młodzieniec, gdy termin ten nadszedł, mógł się sprowadzić do najętego lokalu.

Sprawa Dargon jednak, jak ją nazywaro już, przedstawiała jeszcze ciągle tajemnicze i osobliwe zawikłania.

Najprzód niepodobna było dowiedzieć się o przeszłości małżonków. Rozgłos, nadany przez dzienniki temu tragicznemu wydarzeniu, nie ściągnął żadnego krewnego, ani blizkiego, ani dalekiego, któryby mógł wyświetlić przeszłość czy to żony czy też tego którego miano za mordercę.

Kiedy właściciel domu, pan Leon Barantel, powrócił z podróży trzydniowej, którą odbył, wyjechawszy do jednego ze swych folwarków, o dwadzieścia mil od Paryża, sędzia śledczy wybadał gō, co mu było wiadomo o jego lokatorach Urzędnik spodziewał się, że lokatorzy przy robieniu kontraktu na najem mieszkania, powołali się przed właścicielem na jakie bądź okoliczności, dające co do nich rękojmię.

Pan Leon Barantel, dwudziestoośmiuletni, był młodzieńcem bardzo nieśmiałym, którego nawet ogromny majątek jeszcze nie zdołał ośmielić. Wszystkie przyjemności i rozkosze, jakie dać mu mógł dochód roczny, wynoszący około 150 tysięcy franków, obce były temu cichemu i spokojnemu chłopcu, któremu nie przypisywano ani jednej nawet kochanki.

Zresztą było to dla niego szczęściem, bo ta ręka kobieca łatwo mogłaby zapanować nad jego naturą niezwykle miękką, bez doświadczenia, bez energii, a tembardziej byłoby to dlań niebezpiecznem, gdyby ta ręka należała do kobiety przewrotnej i zepsutej. Pomimo usiłowań sędziego śledczego, ażeby się uspokoił, młodzieniec, cały blady i drżący ze wzruszenia, na widok powagi sędziowskiej, dał następujące objaśnienia:

Pięć lat przedtem, kiedy po śmieci ojca został właścicielem dwóch domów przy ulicy św. Honorego, zgłosiła się do niego pani Dargon, chcąc wynająć drugie piętro w jednej z jego kamienic.

Prócz rękojmi sprowadzonych do mieszkania bogatych mebli, piękna kobieta zapłaciła komorne za dwa lata z góry, co oczywiście uwolniło właściciela od potrzeby zaciągania jakichbądź o niej wiadomości. Kontrakt najmu mieszkania podpisany został na lat trzy, z możnością przedłużenia do lat sześciu, a podpisała go pani Dargon, oświadczywszy, iż jest z mężem rozseperowaną co do majątku, ze wzmianki tej dowiedział się więc pan Barantel, że przyszła jego lokatorka jest zamężną.

— Czy ta osoba uprzedziła pana wypowiedzeniem, że chce się wyprowadzać? — zapytał sędzia zeznającego.

— Nie obowiązana była wypowiadać mi mieszkania. Ostatni okres najmu kończył się za jedenaście miesięcy. Suma, którą otrzymałem, pokrywała zupełnie resztę komornego. Pani Dargon, jeśliby nie chciała odnowić kontraktu, mogła i miała prawo wyprowadzić się w każdej chwili.

— Czy sądzisz pan, że była tak bogatą, jak świadczyło urządzenie mieszkania?

— Ja byłem punktualnie zapłacony, oto wszystko co mogę powiedzieć o tej damie, którą widziałem jedynie w dniu podpisania kontraktu

— A mąż jej?

— Z nim nie rozmawiałem nigdy — oświadczył nieśmiały Leon Barantel, który nawet w końcu tego badania nie zdołał jeszcze powściągnąć swego wzruszenia.

Wobec niemożebności dowiedzenia się, zkąd pochodziło to małżeństwo, przed przybyciem na ulicę św. Honorego, sędzia sprobował, czy uda mu się

dowiedzieć, dokąd małżonkowie zamierzali się udać po wyprowadzeniu się z tego mieszkania.

Wypytał więc pokojówkę i kucharkę.

Obie służące dały jednakowe zeznanie.

Pani nie pisnęła ani słówka o miejscu przyszłego mieszkania. Według nich, pani Dargon zapewne odprawiłaby je dopiero w ostatniej chwili.

— Ależ — zauważył sędzia — z tak wspaniałymi meblami, a zwłaszcza z temi cackami kruchemi, wymagającemi troskliwego opakowania, nikt się nie wyprowadza w ostatniej chwili, taka wyprowadzka odbywa się spokojnie i stopniowo, trzeba na to czasu i zwykle wprzód się kilkakrotnie posyła na nowe mieszkanie... Czyż nic takiego nie dało wam wiadomości o przyszłej siedzibie waszej pani?

— Nie, ponieważ nasza pani chciała zabrać z sobą tylko suknie i bieliznę... a to możnaby zapakować w ciągu godzin kilku.

— A meble?

— Słyszeliśmy, że chciała je sprzedać tapicerowi, o ileby ich nie chciała nabyć osoba, któraby po państwu najęła to mieszkanie.

— Dlaczegoż nie zaproponowano tego panu Desormeaux, kiedy przyszedł obejrzeć lokal?

— Bo zeszedł państwa na kłótni, jak nam opowiadał Stanisław.

To wymówione imię natychmiast nadało kierunek badaniu urzędnika, który zapytał obie kobiety, czy służący Stanisław zamierzał odejść ze służby oddawna, czy też dopiero od dni kilku dał się słyszeć z tym zamiarem.

— Nie — odrzekła kucharka — chęć odejścia porwała go nagle, jakby kolka. Zażądał zasług zrana, chcąc odejść wieczorem, i niechciał nawet zaczekać przez tydzień, jak zwyczaj każe i jak chciała pani.

— Więc to do pani o tem powiedział? Dlaczego nie mówił do męża?

— Bo mówił, że mąż tu u nas nic nie znaczy.

— Czy wiecie, dokąd się teraz udał?

— Nie. Zwierzył nam się tylko, że dostaje miejsce, gdzie będzie opływał we wszystkiem jak pączek w maśle.

— O której godzinie odszedł?

— Wieczorem baraszkował jeszcze z nami i dopiero o godzinie jedenastej pożegnał się, mówiąc, że idzie na strych spakować rzeczy.

— Widocznie nieskończył tego pakowania o północy, ponieważ odźwierny, który się o tej porze położył, nie widział wcale, aby służący już wyszedł.

— Musiał wymknąć się później.

— To byłby zbudził odźwiernego, ażeby mu bramę otworzył... a tego nie było.

— O! — ze śmiechem odrzekła zapytana. — Stanisław był lis nielada. Bardzo często, już po północy, wymykał się z domu bez wiedzy Ignacego, który wszystko lubi wygadać przed państwem.. Czekał tylko, aż odźwierny i żona jego zasną, a on potem, otworzywszy okienko w drzwiach izdebki ich, pociągał za sznur, dla otwarcia sobie bramy. Sama to opowiedziałam odźwiernemu po odejściu Stanisława.

Zeznanie to, które prawie dowodziło obecność służącego po północy w domu, wzmocniło podejrzenie, iż był w zmowie z mężem i pomagał mu w usunięciu zwłok.

W zeznaniu Ignacego jeden tylko szczegół mógł zwrócić uwagę sędziego śledczego. Tak samo, jak obie służące, odźwierny oznajmił, że nie widział, aby do małżonków przychodził w odwiedziny jaki krewny, przyjaciel, albo ktokolwiek obcy.

Małżeństwo nie miało zgoła żadnych znajomości, ani rozrywek, dostępnych dla ciekawości, ani też nie bywało nigdzie.

Pani, w towarzystwie męża, korzystała z licznych rozrywek, dostępnych dla ciekawości publicznej, jakoto wyścigów, koncertów, balów dobroczynnych, teatrów i t. d. ale pozbawiała się wszelkich przyjemności, jakie dają stosunki towarzyskie.

— Zatem, zdaniem waszem, państwo nie utrzymywali żadnych stosunków?

— Żadnych proszę pana.

— Nawet listowych?

— O! to co innego — odrzekł odźwierny.

— A więc małżonkowie odbierali listy?

— Tylko pani.

— Z prowincji czy z zagranicy?

— Nie, poprostu z Paryża

I Ignacy oznajmił, iż odbierał z poczty bardzo rzadkie listy, które pani kazała sobie tylko oddawać, ile razy koperta zaznaczona była małym krzyżykiem.

— A czy tego dnia przed zbrodnią nadszedł list jaki?

— Nie, panie. Jednakże pani musiała się listu spodziewać, bo mnie zapytywała dwa razy, czy czego nie przyniesiono z poczty.

Po tych badaniach, które mu dostarczyły bardzo wiele szczegółów, sędzia skierował policję do poszukiwań pana Dargon i Stanisława.

Zalecił najenergiczniejsze śledztwo, dodając:

— Skoro tylko jeden z tych ludzi zostanie schwytany, łatwo nam będzie odnaleźć jego wspólnika

Wtedy się dowiemy, co ci zuchwali łotrzy uczynili z trupem.

Kiedy Cezar Desormeaux zgłosił się do sędziego z zapytaniem, czy śledztwo długo mu będzie stawało na przeszkodzie w objęciu mieszkania, które wynajął, sędzia zdziwił się, że zajął tak obszerny lokal, będąc kawalerem:

— To prawda — odparł Cezar ze śmiechem — ale wszystko ma swój koniec, nawet kawalerstwo. Ponieważ żenię się za kilka miesięcy, zawczasu wynająłem ten apartament, ażeby mieć możność bez zbytniego pośpiechu umeblować go, upiększyć i przysposobić w nową siedzibę małżeńską.

— A co pan zrobisz z meblami pozostałymi po Dargonach?

— Właściciel domu, pan Leon Barentel, z którym o nich mówiłem, oddaje do mego rozporządzenia małe mieszkanko na piątem piętrze, dokąd je przeniosę, jeżeli mnie pan do tego upoważni.

— Mnie potrzebne będzie jeszcze dla śledztwa obejrzenie pokoju pani Dargon.

— I owszem... Ale reszta lokalu przecie niepotrzebna. Niech mi więc będzie wolno go zająć... Tapicer mój rozpocznie roboty w pokojach, już niepotrzebnych sądowi.

— I będziesz pan cierpliwie czekał, aż panu oddadzą resztę mieszkania?

— Najcierpliwiej.

— No — podchwycił sędzia śledczy, dając się przekonać — nie będzie to trwało długo. Niech tylko jutro odnalezieni zostaną winowajcy, a przynajmniej jeden, to wszystko wyśpiewa i uwolni nas od dalszych badań, od dalszych oględzin mieszkania... co prawda zgoła bezużytecznych, bo najdrobiazgowsze poszukiwania przezemnie przeprowadzone, nic nie wykryły.

— Zatem panie sędzio, pozwolisz mi objąć ten lokal w posiadanie? (C. d. n.)

UKRYTE MILJONY.

POWIEŚĆ Z KRAJU BOERÓW

z angielskiego

H. J. Rosny.

(Ciąg dalszy).

Po dokonaniu tego spostrzeżenia, Marcjal brał tom po tomie i przeglądał kartki. Nie znalazł w nich ani jakiejkolwiek notatki, ani kawałka papieru, tylko na czystych kartkach, wstawianych zwykle na początku i końcu książki, dostrzegł napisy, wskazujące zapewne dawniejszą klasyfikację. Zebrał więc pewną liczbę takich tomów, ażeby zdać sobie sprawę z tej klasyfikacji, lecz nie zdołał jej zrozumieć. Napisy były zanadto skomplikowane lub mogły być odczytane tylko z pomocą jakiegoś tajemnego klucza.

Napróżno segregował oddzielnie książki, zaopatrzone w lit. A., napróżno również układał je według cyfr. Wtedy powiedział sobie, że jak egiptologowie, badający hieroglify, błędnie w piśmie egipskiem widzieli tylko pismo symboliczne, tak on przeciwnie uważał te znaki za litery oddzielne, gdy w rzeczywistości mogły one być skróceniami wyrazów. Dwa dni spędził na zestawianiu ich i ścisłej analizie, jednak nie doszedł do żadnego rezultatu.

Gniewało go to niepowodzenie. Wieczorem dnia trzeciego przejrzał całą bibljotekę i uczynił trzy spostrzeżenia: 1) że nie wszystkie książki zaopatrzone były w napisy; 2) że z ogólnej liczby książek, które je posiadały, na 203 książkach napisy te dokonane były atramentem czerwonym, czarnym zaś na 191; 3) że książki od kolejnego numeru 1,793 nie posiadały napisów na kartkach czystych.

Doszedłszy do tego punktu poszukiwań, Marcjal zatrzymał się. Znajdował się w stanie podniecenia, znanego odgadywaczom rebusów i wielkim matematykom, zaczynał tracić wiarę w skuteczność swej pracy, żałować straty czasu i zmarnowanych wysiłków.

Podszedł do okna, oparł głowę o szybę i długi czas zapatrywał się w pogodne niebo wiosenne, jak gdyby oczekiwał od niego natchnienia. Gdy powrócił do stołu, nie zajął się już badaniem napisów, nad zrozumieniem których tyle czasu stracił, lecz zabrał się do przejrzenia szuflad w szafie.

Zrobione były z drzewa dębowego i przytem

bardzo mocno; okucia ich i zamki dowodziły pochodzenia z czasów, w których tego rodzaju meble robiono z myślą by przetrwały wieki. Nie było w nich książek, tylko zbiory rycin, rysunki, ornamentów i cenne rękopisy stare. Marcjal widział już je nieraz, mimo to starannie przejrzał wszystkie, lecz nie znalazł nic, co mogłoby mu posłużyć za jakąkolwiek wskazówkę. Pod koniec przeglądu szafy dostrzegł kilka paczek listów i dokumentów rodzinnych, do przejrzenia których zabrał się bezzwłocznie.

Dowiedział się z nich, że niektórzy przodkowie Avincourtowie w wieku XVI przyjęli religię reformowaną i kilku z nich było zamordowanych podczas strasznej nocy św. Bartłomieja 1572 roku. Stosunki pomiędzy dwiema liniami, katolicką a protestancką, dzięki tolerancji głów domu, istniały bez przerwy do połowy wieku XVII, czego dowodziły znalezione przez Marcjala listy, wymieniane pomiędzy Ryszardem d'Avincourt a Andrzejem de Noville, protoplastą Thélenów katolickich. Wszelako z chwilą odwołania edyktu Nantejskiego stosunki te zerwały się i od roku 1680 korespondencja ustała.

Odczytywanie tych listów zajęło Marcjalowi przeszło dwa dni czasu. Gdy nadeszła sobota, do przejrzenia pozostały w szafie już tylko listy, rękopisy pamiętniki Hugona Thélena, brata dziadka Marcjala Młody nasz uczony lubił i niezmiernie cenił tego przodka swego.

Sądząc ze znalezionych papierów był on prawdopodobnie kaleką, gdyż często w listach swoich wspominał o swem biednem ciele pokrzywionem i rękach zbyt długich. Odkryta przez Marcjala miniatura była właśnie jego portretem i wyobrażała człowieka o twarzy kościstej, podbródku wydatnym, ze wszelkiemi cechami garbusa.

Człowiek ten, bezustannie zamknięty w swym pokoju, posiadał zapewne wyobraźnię bujną, ciekawość i wielkie pragnienie wiedzy. Jeden z pierwszych rzucił się na obszerne, nieznane jeszcze w owych czasach pole geologii i pozostawił ciekawy rękopis, oraz zbiór muszli pochodzących z różnych pokładów ziemi.

Za jego życia wybuchła wielka Rewolucja. Biedny kaleka ułatwił ucieczkę za granicę bratu swemu. dziadkowi Marcjala i swej siostrze Annie Adelajdzie, młodej wicehrabinie de Nordan, która pozostawiła pamiętnik o tej ucieczce i o poświęceniu Hugona. Na nieszczęście nie chciał opuścić Paryża i aresztowany wraz z dziesięcioma innemi osobami w domu starej przyjaciółki Robespierra, wierzącej w protekcję demagoga, zginął pod gilotyną.

Gdy wieźli go na wozie przez ulicę Rivoli, lud szydził z biednego garbusa, lecz ten umarł ze spokojem i z odwagą, która zaimponowała wszystkim. Z tego powodu jedna z gazet uczyniła uwagę, że nie trudno jest spotkać wzniosłą duszę w słabem ciele, a okoliczność ta lepiej od innych argumentów dowodzi pierwotnej równości ludzi.

Nie robiono po jego śmierci rewizji w domu. Biblioteka pozostała w całości. Nawet rząd terrorystyczny nie odkrywszy nic kompromitującego w papierach skazanego, rozkazał sprzedać je handlarzowi. W kilka dni później odkupiono je na żądanie Anny Adelajdy i przewieziono do mieszkania Thélenów, pozostającego pod opieką wiernego służącego.

Te to papiery Marcjal chciwie pożerał teraz oczyma. Spora ich paczka, oprócz notat o kilku nieznanych jeszcze w owej epoce faktach naukowych, zawierała rękopis, traktujący o warstwach skorupy ziemskiej wraz z objaśnieniami i rysunkami, wyobrażającemi przecięcia studzien, wykopanych w Touraine i Normandji. Kilka paczek mniejszych obejmowały korespondencję Hugona, z odpowiedziami, przypiętemi szpilką.

Listy te były bardzo ciekawe, dowodziły duszy wzniosłej i inteligencji rozległej. Podczas czytania ich Marcjal niejednokrotnie miał sposobność zauważyć symboliczną formę niektórych frazesów. Zdawało mu się, że jest bliskim przeniknienia tajemnicy, lecz po chwili namysłu dochodził do wniosku, że łudzi go tylko stan podnieconego jego umysłu.

Przegląd szafy w niedzielę wieczorem był ukończony.

Za nadejściem nocy. Marcjal zapalił lampę i przechadzając się po obszernym pokoju, usiłował z wszystkiego, co przesunęło mu się przed oczyma, wydobyć jaką nić przewodnią do poszukiwań dalszych.

— Jeżeli zagadka ta — mówił sobie — posiada wartość rzeczywistą, to powinna pochodzić od stryja Hugona. On jeden tylko był zdolny skombinować ją w sposób tak trudny. Jeżeli tak jest w samej rzeczy, to byłoby niedorzecznością przypuszczać, że zawiera się ona w szafie, którą mój dziadek przetrząsnął starannie.

Usiadł przy kominku i spoglądając na płonący ogień, klasyfikował w myśli poczynione obserwacje. Rozglądał się po tajemniczym pokoju i po kątach w których cienie walczyły ze światłem i porównywał je do duszy własnej, w której światło i ciemność zmieniały się kolejno.

Zdawało mu się, że lada chwila odkryje tajemnicę i jakieś przeczucie mówiło mu, że znajdzie

ją nie w listach stryja Hugona, lecz w korespondencji d'Avincourtów.

— Wszelako — szeptał, chodząc po pokoju — jedna rzecz wydaje mi się widoczną, mianowicie, że tajemnica ta datuje się dopiero od stryja Hugona. Tylko on jeden mógł widzieć jej potrzebę, on który żył w epoce terroryzmu.

Doszedłszy do tego punktu, Marcjal rozumował dalej:

— Stryj Hugon posiadał podczas terroryzmu tę tajemnicę, ale pochwycony, jak wszyscy prądem rewolucyjnym, nie miał czasu skorzystać z niej. Dopiero w wigilię dnia, w którym postanowił ocalić siostrę swoją wicehrabinę de Nordan i swego brata Jana Ludwika, przedsięwziął środki dla ukrycia sekretu przed oczyma pospólstwa; lecz pragnąc, by który z członków rodziny mógł ją odkryć, pozostawił prawdopodobnie papiery pierwotne, może tradycję ustną, będącą punktem wyjścia poszukiwań pradziadka.

Mając na uwadze klasztorne życie garbusa, można przypuszczać, że klucz do zrozumienia sekretu zachował w bibliotece, w książkach lub papierach swoich. Nadto ze względu na szybkość następujących po sobie wypadków i obawy rewizji, klucz ten jest zapewne prosty, ukryty w papierach obojętnych, najmniej pobudzających ciekawość lub podejrzanych w oczach władzy.

Dalej — ponieważ sekret ten miał być pozostawionym do rozwiązania pokoleniom następnym, a ślad o nim łatwo mógł zaginąć, więc wzmianka o nim była sporządzoną w dwóch lub trzech egzemplarzach. Ważną więc jest rzeczą przekonać się, czy pomiędzy przejrzanemi przezemnie papierami niema jakiego, dowodzącego tej przezorności.

Ośmielony temi myślami, powtórnie wznowił poszukiwania. Po chwili przypomniał sobie o istnieniu dwóch katalogów jednakowych, sporządzonych ręką Hugona. Przyjrzał się im uważnie, odłożył na stronę i zaczął szukać dowodów innych. Ale trzeciego egzemplarza nie znalazł, tylko rękopis o wierceniu studni artezyjskich z objaśnieniami geologicznemi i mineralogicznemi.

W pierwszej chwili Marcjal pomyślał, że doznał zawodu. Bo jeżeli rękopis ten miał rzeczywiście charakter dokumentu obojętnego, to sporządzenie go w kilku egzemplarzach, było rzeczą naturalną. Nie zniechęcił się tem jednak i szukał dalej. Drobiazgowo zbadał każdy egzemplarz i nic nie znalazł w dwóch pierwszych; za to trzeci wynagrodził go sowicie. Zaraz na pierwszej stronicy znalazł dedykację następującą.

„Do obywatela Robespierra, w nadziei, że zainteresuje się pracami nieznanego geologa. Proszę, ażeby po mojej śmierci rękopis ten kazał wręczyć mojemu spadkobiercy, obywatelowi Naborie, lub jego potomkom.

Hugon Thélen.“

Naborie był starym wiernym służącym, który później zebrał i przechował papiery swego pana. Udawał on zajadłego republikanina i należał do klubu Asa Pikowego, który w podziw wprawił cały świat swemi szaleństwami. Dziwny ten spadek dostał się do rąk fałszywego sekciarza, czego dowodem dwa następujące dopiski, umieszczone pod pierwszym.

„Dla wręczenia obywatelowi Naborie po mej śmierci

Robespierre.“

„Odsyłam obywatelowi Naborie należącą do niego książkę

Duplay.“

— Duplay, stolarz, u którego mieszkał Robespierre— rzekł głośno Marcjal, przeczuwając, że wkrótce rozwiąże zagadkę. — Rozumiem wyrachowanie stryja Hugona. W owym czasie tylko mieszkanie Robespierra było zabezpieczonem od rewizji; a zważywszy, że praca naukowa nie mogła interesować osób otaczających terrorystę, nic więc dziwnego, że spadek ten dostał się do rąk wiernego Naborie. Teraz nie ulega już wątpliwości, że posiadam klucz do rozwiązania zagadki. Pozostaje tylko znaleźć sposób wyjaśnienia.

Kilkakrotnie odczytał rękopis, mówiąc nawiasem, napisany świetnie pod względem naukowym i doszedł do wniosku, że oprócz ciekawych danych naukowych nic w nim więcej nie znajdzie. Przedmowa tylko wydała mu się dziwną, zawierała bowiem takie zwroty stylowe, jakich Hugon Thélen, w innych wypadkach nigdy nie używał.

Oto niektóre ustępy:

„Należy wyobrażać sobie ziemię jako rodzaj biblioteki z półkami, ułożonemi jedna nad drugą. Każda warstwa zawiera w sobie książki, które z pomocą nawet niewielkiej uwagi, możemy odcyfrować. Całkowita Zagadka, cudowny Skarb historji świata objawi się z kompletu tych ksiąg, ułożonych według porządku naturalnego, takiego, jaki istniał zawsze, przed naszem pojawieniem się na świecie.“

. . . .

„Powtarzamy, iż należy nauczyć się czytać. Zbytni pospiech może się stać źródłem wielkich błędów. Badanie studzien, wywierconych w Touraine i Normandji dowodzi, że porządek warstw może być zmieniony w skutek jakiej rewolucji podziemnej, naprzy-

kład przez wybuch ognia wewnętrznego, ale nieco dalej znajdziemy je już w zwykłym porządku. Następujący przykład ułatwi zrozumienie myśli autora. Wyobraźmy sobie, przyjmując powyższe porównanie, że znajdujemy się w bibliotece, w której książki są ułożone właściwie, według porządku naturalnego, t. j. chronologicznego i koleją nazwisk autorów. Otóż przypuśćmy, że zaszedł jakiś wypadek, wskutek którego jedna część biblioteki zapadła się wraz z gruntem pod ziemię i półki jej ułożyły się nie naprzeciw półek odpowiadających części drugiej, lecz naprzeciw pułek niższych. Czy taki wypadek przeszkodzi uczonemu odnaleźć porządek naturalny? Nie. Chociażby osunięcie się nastąpiło w dwóch miejscach, t. j. że na poziomie pierwotnym pozostałaby tylko część środkowa, a zapadły się obie części boczne, to człowiek inteligentny łatwo ustawi je na miejscach właściwych."

. . . .

„Wogóle, niech was nie przestrasza nieład pozorny. Uzbrojeni w dobrą teorję ogólną, łatwo zauważycie fakty szeregujące się powoli pod waszym wysiłkiem i grupujące się według praw harmonii działającej podczas tworzenia się światów i wtedy Skarb stanie się własnością waszą."

. . . .

„Potrzeba układać nietylko warstwy we właściwych miejscach, ale i składowe ich części, bo i tu jak wszędzie porządek mógł być naruszonym; jeżeli macie naprzykład dwa kamienie czarne i jeden czerwony, to ten ostatni może się znaleźć albo pomiędzy czarnemi, albo przed nimi lub za nimi."

V.

Nareszcie światło błysnęło w umyśle Marcjala. Porównanie warstw ziemskich z półkami książek, porównanie dość trafne, lecz wyrażone z niejakiem naleganiem, a nadto istnienie drugiego katalogu, dozwalało wnioskować, że zręczny garbus ukrył zagadkę w bibliotece.

Skoro tak, to napisy na wszystkich kartach ksiąg mogą odnosić się do tej zagadki, a hipoteza ta nabierała wielkiego prawdopodobieństwa ze względu na okoliczność, że na książkach drukowanych po roku 1793 nie było żadnych napisów.

Marcjal tak ucieszył się tem odkryciem, że potrzebował kilkanaście minut, ażeby ochłonąć ze wzruszenia.

— Bardzo być może — mówił sobie — że zręcznie badana biblioteka przemówi; lecz dobrzeby było wiedzieć, o czem ma przemówić. Wiadomość ta bardzo ułatwiłaby interpretację dokumentu, jaki spodziewam się odkryć.

„Zresztą, jeżeli dobrze poznałem usposobienie mego dziadka, to zdaje mi się, że najważniejszą stronę zagadki pozostawi na koniec. Istnieją zapewne jakieś dokumenty, lecz prawdopodobnie, pierwej wykryję ślady ich istnienia.

„Jakieś przeczucie mi mówiło, że papiery moich kuzynów Avincourtów i Novillów wiążą się z tą tajemnicą. Papiery te widocznie były rozklasyfikowane przez stryja Hugona, jak dowodzą napisy na kartach czystych.

Podszedł do drabinki, ażeby przystawić ją do szafy i zdjąć książki z półki górnej, gdy w tem spojrzawszy w okno, spostrzegł pierwsze blaski jutrzenki. Wtedy dopiero zauważył, że jest utrudzonym, więc odłożywszy dalszą pracę do dnia następnego, udał się na spoczynek.

VI.

Nazajutrz około ósmej rano zeszedł do pokoju stołowego. Z początku nie przywiązywał wielkiej wagi do smutnego wyrazu twarzy matki i siostry, gdyż wspomnienie Józefa Thélena od trzech miesięcy, w każdej chwili wyciskało im łzy z oczu. Często i sam nie mógł ukryć swoich.

Pomimo swych zajęć ostatniego tygodnia, chwilami miewał przeczucie jakiegoś nowego nieszczęścia. Wyrzeczone do Augustyny słowa matki zwróciły jego uwagę.

— Nie smuć się, niema jeszcze nic straconego.

— Straconego? O czem mama mówi? — zapytał Marcjal.

— Niech Augustyna opowie ci sama.

— Co ci, siostrzyczko?

Augustyna zarumieniła się i odrzekła zmieszana:

— Zdaje mi się, że Jan doznaje jakichś przeszkód od rodziny. Zachowanie się jego, tak szczere i serdeczne od dnia naszych zaręczyn, w ostatnich czasach bardzo się zmieniło.

I po tych słowach rozpłakała się.

Marcjal podszedł ku niej, ujął jej rękę i usiłował uspokoić. Zrozumiał swój obowiązek i postanowił spełnić go.

— Wyjaśnię tę rzecz — odrzekł — i jeżeli pomiędzy Janem a jego ojcem zachodzi jakie nieporozumienie, to załagodzimy je łatwo. W dzisiejszej pozycji naszej nie możemy znieść takiego stosunku. Jan powinien to rozumieć. Znam charakter Augu-

styny i wiem, że będzie wolała najgorszą ostateczność, niż fałszywe położenie. Za kilka dni powiadomię was o pewnym projekcie swoim, nad którym długo myślałem... Kiedy spodziewacie się Jana?

— Przyjdzie jak zwykle, około drugiej.

— Skoro tylko nadejdzie, przyślijcie po mnie.

Rozmowa zeszła na przedmiot inny. Matka i siostra zauważyły, że Marcjal postanowił rozpocząć życie czynne i ucieszyły się, gdyż wierzyły w jego inteligencję. Fabryka pod kierunkiem Augustyny z pomocą Nolla, szła jako tako i dawała dochód przewidziany. Trudno było rachować na większe powodzenie w przyszłości. Dochody, w porównaniu z dawniejszemi zmniejszyły się o sumę tak znaczną, że o dalszych pracach naukowych Marcjala nie można było myśleć.

Okoliczność ta niezmiernie martwiła Augustynę. Zarówno jak zmarły ojciec, ceniła bardzo wysoko inteligencję brata i wielkie znaczenie przypisywała jego pracom. A chociaż on nigdy teraz o nich nie wspominał, rozumiała jego cierpienie i odczuwała je głęboko.

Tego rana Marcjal z wyrzutami sumienia za stracony czas nad poszukiwaniami w bibliotece, udał się do swego laboratorjum, gdzie przepędził kilka godzin, powtarzając doświadczenia dawniejsze i przyspasabiając materjały do nowych.

Około drugiej popołudniu pokojowa matki powiadomiła go o przybyciu Jana Chevrot. Marcjal udał się do salonu. Nie potrzebował obserwować uważnie. ażeby się przekonać, że Jan rzeczywiście był zmienionym i zamyślonym. Zwracał się tylko do pani Thélen i unikał Augustyny. Spostrzegłszy Marjala, jako dobry obserwator, zauważył odrazu, że uczony przyjaciel jego znajduje się w chwili przełomowej, że w oczach jego widoczne jest pragnienie czynu, ale nie miał czasu zastanowić się nad tą zmianą. gdyż Marcjal odrazu postawił mu pytanie:

— Powiedz, Janie, ale szczerze, czy masz jaki spór z ojcem?

Słowa te sprawiły Janowi przykrość. Należał on do kategorji ludzi, lubiących od czasu oczekiwać rozstrzygania wszelkich sporów. Lecz przez szacunek dla Marcjala zapanował nad złym humorem i odrzekł:

— Niewarto o tem mówić. Spór z moim ojcem nie zmieni mnie dla was; pozostanę zawsze waszym najwierniejszym przyjacielem. Poco mam was zasmucać mojemi zgryzotami?

— Nie zapominaj, że nieszczęście czyni ludzi podejrzliwymi. Rodzina nasza w tej chwili ma prawo wymagać od swych przyjaciół życzliwości szczerej i wyraźnej. Żądamy od nich zaufania. Bądź przekonanym, że Augustyna wolałaby utracić cię, niż widzieć chwiejnym i nieszczerym. Człowiek ukochany jest nietylko istotą kochaną, lecz i ideałem uwielbianym i to właśnie stanowi usprawiedliwienie miłości, która bez tego byłaby tylko egoizmem. Nie ukrywaj więc przed nami swych przykrości; jesteśmy przygotowani do wszystkiego, z wyjątkiem utraty szacunku dla ciebie.

Wobec takiego przemówienia Jan nie mógł opierać się dłużej. Zresztą znał intuicyjny dar Marcjala zarówno w sprawach uczuć jak i naukowych. Więc odrzekł:

— Kochany Marcjalu, powtarzam, że lepiei pozostawić czasowi jego zwykłą pracę zaokrąglania kantów i harmonizowania różnic; wszelako zdaję się na twój rozum. Rzeczywiście, położenie obecne, odbierając mi pewność, pozbawiło zarazem szczęścia, wynikającego ze swobodnego objawienia mych uczuć. Widząc że związek nasz jest zagrożonym, unikałem Augustyny, gdyż zdawało mi się, że postępowałbym nieszczerze, przyrzekając jej szczęście, którego nie byłem pewnym, a jednocześnie nie chciałem jej sprawić smutku. Przebacz mi, Augustyno, wyrządzone ci mimowoli mej przykrości... Rzeczywiście, ojciec mój nie zgadza się na nasz związek. Wstyd mi za niego, gdyż powodem tej zmiany usposobienia, jest wasz obecny stan majątkowy. Na wszystko co mu mówię, odpowiada mi, że położenie zmieniło się, a więc ma prawo cofnąć swe słowo.

„Mimo to, prośby moje sprawiły na nim wrażenie, co prawda, nie takie, jakie widziećbym pragnął, w każdym razie dość wyraźne i dające mi nadzieję na przyszłość. Ojciec mój jako argument swego oporu stawi sprawę posagu. Odpowiedziałem mu na to, że nigdy, dopóki żyć będę, nie uczynię Augustynie zniewagi, stawiając wyżej interes nad miłość.

— Nie potrzebujesz mówić z nią o tych rzeczach — odrzekł mi. — To sprawa rodziców. Zobaczę się z panią Thélen...

„Opieram się temu zamiarowi ojca, gdyż uważam to za największe upokorzenie dla mnie. Przed chwilą powiedziałeś Marcjalu, że kocha się w mężczyznie nietylko osobę lecz i ideał. Nie chciałbym stracić wartości w oczach Augustyny, a jednak czuję, że nie mam już tych samych praw do niej i zdaje mi się, że przywłaszczam sobie jej uczucie, które mogłaby ofiarować innemu...

— Kochany Janie...

— Pozwól mi skończyć, bo za kilka minut może nie będę miał już odwagi... Chociaż ze względu na wiek podlegam władzy ojcowskiej, czuję przecież, ile cierpienia sprawia wam opór mego ojca! Jest no

gwałtownym i upartym. Stając się nieposłusznym, wywołam jego gniew. Odmówi mi pomocy, jakiej dotychczas mi udzielał, a wtedy jakim sposobem będę mógł zapewnić byt Augustyny? Nie uczynię jej tej krzywdy i nie powiem, że przestanie mnie przez to kochać, ale czyż nie jest moim obowiązkiem usunąć się od niej, ażeby nie wystawiać jej na ubóstwo? Wiem, że Augustyna może zrobić partję świetną, a ja utraciłem już prawo pierwszeństwa, z którego dotychczas byłem tak dumnym.

— Nie mów takich rzeczy — ze łzami w oczach zawołała Augustyna. — Nie oddawaj mnie w swych myślach komu innemu; jeżeli potrzeba czekać na zmianę okoliczności, więc będziemy czekali.

— Niestety! oczekiwanie to, droga Augustyno, będzie dla mnie zatrute wyrzutami sumienia. Jestes za szlachetną, byś miała obwiniać mnie kiedy za doznany zawód, ale ja cierpiałbym wiedząc, że stałem się przeszkodą do urzeczywistnienia tych słusznych nadziei.

Augustyna umilkła. Przez chwilę zdawało się jej, że te przesadne skrupuły Jana dowodziły słabego uczucia lub przewrotności. Dziewczyna nie mogła zrozumieć, ażeby można było wątpić o jej uczuciu aż do przypuszczenia, że zgodzi się zaślubić innego mężczyznę, gdy narzeczony jej pozostawałby przy życiu. A jednak Jan był szczerym.

Gdy Augustyna szczęście własne widziała w jedności ze szczęściem Jana, przeciwnie on, nie wierzył, że jest koniecznym do szczęścia Augustyny.

— Dziękuję ci, kochany Janie, za twą otwartość — rzekł Marcjal — ale nie uznaję twego rozumowania. Owszem, niech ojciec twój przyjdzie. Pomówimy z nim o tej sprawie. Niech odpowiedzialność za odmowę on weźmie na siebie. Znam Augustynę i wiem, że nie przestanie cię kochać i będzie czekała na ciebie. A jeżeli ostatecznie małżeństwo to ze względów, o jakich mówisz, stanie się niemożliwem, wtedy podda się z rezygnacją.

Augustyna przez chwilę zwątpiła o Janie, lecz przestała wątpić gdy spostrzegła, że zbladł i zachwiał się. Instynktowie podeszła ku niemu, ażeby go podtrzymać, a wtedy oboje zrozumieli się lepiej, niż gdyby uczucia swe wyrażali słowami.

Jan opadł na fotel i rozpłakał się.

— Nic niema jeszcze straconego — rzekła pani Thélen, usiłując pocieszyć go.

— I ja powtórzę to samo — dodał Marcjal — tylko nie należy tracić nadziei. Pobierzecie się kiedyś, jeżeli tylko potraficie wytrwale walczyć z przeciwnościami. Zapewne, przyjemnie jest zawdzięczać szczęście wypadkowi, lecz o ileż więcej po ludzku i szlachetniej jest zdobyć je własną energią i wytrwałością. Powiedz Janie ojcu, niech przyjdzie do nas, a pomówimy o tej sprawie.

Chevrot nabrał nieco otuchy.

Wszyscy zgrupowali się wokoło Marcjala, jako głowy rodziy, z oczekiwaniem pomocy. On sam zrozumiał to znaczenie swoje i doznawał przykrości widząc swą bezsilność. Posiadał rozum i odpowiednie siły, lecz brakło mu pola do okazania ich. Sprawił ulgę siostrze i Janowi Chevrot, lecz tylko pod względem moralnym. Powzięte w samotności, podczas poszukiwań w bibliotece projekty wydały mu się w tej chwli najtrafnieszemi. Coraz więcej zaczynał wierzyć, że w tym wieku pracy wielki wysiłek umysłowy może w jednej chwili wpłynąć na zmianę losu. Do wysiłku tego pchało go samo życie i uczyniło człowiekiem czynu.

Pilno mu było powrócić do biblioteki, kryjącej w sobie zagadkę, pilno mu było dowiedzieć się, czy przypuszczenia o istnieniu skarbu, wzmiankowanem przez Hugona Thélena, sprawdzą się rzeczywiście.

Nadzieja była jeszcze słaba, lecz pod naciskiem wypadków i w obecnym stanie umysłu Marcjala stała się bodźcem do wywołania energii i wkroczenia na drogę czynu. Wzmocniony temi myślami powrócił do biblioteki.

VII.

Marcjal, stojąc na podwójnej drabinie, uważnie przyglądał się górnej części szafy, tworzącej rodzaj skrzynki, przymocowanej do półki najwyższej. Pamiętał dobrze, jak za lat dziecinnych domownicy niejednokrotnie usiłowali zbadać sekret niedostępnych drzwiczek tej skrzyni, lecz zawsze bezskutecznie. Nawet ojciec jego po kilkogodzinnych usiłowaniach nie mogąc otworzyć ich, a bojąc się uszkodzić tak starożytny i cenny zabytek, kazał napowrót ustawić go na swem miejscu.

Później zaś, jak wiemy, pomimo próśb Marcjala, nie pozwalał mu otwierać tajemniczej skrzyni. Lękał się, aby nie spotkał go los dziadka, który straciwszy całe życie na wykrycie tajemnicy, dostał w końcu obłędu i przyczynił się do ostatecznego upadku rodziny.

Wspomnienia te na chwilę powstrzymały Marcjala. Cień Józefa Thélena, dzielnego artysty-przemysłowca, niestrudzonego pracownika, stanął przed oczyma młodego badacza. Uczuł wyrzut sumienia za przedsięwzięcie, potępione przez ojca. Przypomniał sobie surowe słowa głowy rodziny, wyrzeczone na

wiosnę roku ubiegłego. Był jeszcze czas cofnąć swe postanowienie, zastosować się do woli ojca i raczej wybrać drogę pracy rozsądnej, niż narażać się na zawód idąc za urojeniem.

Lecz zmuszała go konieczność. Sam Józef Thélen przewidywał czarną chwilę, w której Marcjal byłby zmuszonym wyrzec się dotychczasowych badań naukowych.

Chwila ta nadeszła, więc czuł się usprawiedliwionym. Skrzynia była zaopatrzona w czworo drzwiczek, pozbawionych wszelkiego śladu zamku. Marcjal wstrząsał niemi napróżno, zauważył jednak, że najmniejsze zachwianie się jednych udzielało się pozostałym, z czego wywnioskował, że łączył je i zamykał jeden i ten sam mechanizm.

(C. d. n)

W JASKINI NIEDŹWIADKÓW.

(Z angielskiego).

(Dokończenie).

Nagle z góry doleciały go jakieś głosy; zdawało mu się, że słyszy przekleństwa i wołanie o ratunek. Przestał pracować i zaczął nasłuchiwać; tak, nie mylił się: Józek i Meksykańczyk wszczęli niezawodnie bójkę. Straszne podejrzenie powstało mu w głowie; drżał na całem ciele, nasłuchując z zapartym oddechem. W tem nagle o uszy jego odbił się rozpaczliwy krzyk i jakaś masa, której przy słabem świetle pochodni nie mógł rozróżnić, przeleciała koło niego. Za parę chwil uszu jego doszedł odgłos upadającego na dno jaskini ciała; poczem zapanowała grobowa cisza.

Tomek nie śmiał nawet na chwilę przypuszczać, żeby przyjaciel jego padł ofiarą strasznej zbrodni. A jednak gdy sobie przypomniał całe zachowanie się Meksykańczyka w ostatnich dniach, jego nienawiść względem Józka, chytrość z jaką zwabił ich w to oddalone miejsce, gdy nadto zestawił to z wypadkami ostatniego dnia, a mianowicie z podpatrywaniem ich w chwili, gdy skarb swój zakopywali, nabierać zaczynał niemal pewności, że to nikt inny, tylko towarzysz jego leży teraz martwy na dnie jaskini. Ale jakiż los czekał jego? Na pytanie to odpowiedzieć mógł sobie prędzej, niż się tego spodziewał. Nie miał jeszcze czasu otrząsnąć się z strasznego wrażenia, gdy uczuł, że ktoś z góry ciągnie za sznur, którym był opasany. Nie namyślając się ani chwili, uwolnił się od sznura, który go podtrzymywał, poczem przytuliwszy się do ściany skał czekał z zapartym oddechem, co dalej będzie. Nie potrzebował czekać długo: w niespełna minutę odwiązany u góry od drzewa koniec sznura przeleciał nad nim, pociągając za sobą w przepaść i oskard, który Tomek zapomniał odwiązać. Spojrzał w górę; nad otworem pochylała się barczysta postać Meksykańczyka, pragnącego, znać przekonać się, czy mu się powiódł straszny plan. Do uszu jego doleciały jeszcze przekleństwa, jakiemi Gonzago żegnał swoje ofiary, poczem ucichło jak w grobie. Meksykańczyk pewny, że mu się plan udał, odszedł spokojnie w stronę domu.

Tomek blizki był rozpaczy. Usiadłszy na odłamie skały, puścił wodze wyobraźni. Nie trwało to jednak długo; groza położenia przywróciła mu przytomność umysłu. Po bliższem zastanowieniu się przyszedł do przekonania, że los jego o wiele strasznieszy od losu Józka, który niezawodnie w chwili spadnięcia na dno jaskini już nie żył. Sam nie zdawał sobie sprawy, jak długo tak siedział, pogrążony w strasznych myślach. Gdy się ocknął, pochodnia dopalała się już. Machinalnie sięgnął po worek, ażeby wyjąć drugą. Zawahał się jednak; miał wszystkiego cztery, a kto wie, na jak długo mu one starczyć musiały. Przymknął oczy i pogrążył się znowu w strasznych rozmyślaniach; dokoła niego panowała grobowa cisza, zdala dolatywał tylko cichy szmer strumyka, staczającego się z góry w przepaść bezdenną.

Po kilku godzinach strasznych męczarni moralnych, opanowało go znużenie i popadł w stan półsenny.

Nagle ocknął się. Coś zimnego, jakby ręka trupa dotknęło jego szyi. Zerwał się z przeraźliwym krzykiem i zapalił czemprędzej pochodnię. Przy słabem jej świetle spostrzegł ku wielkiemu swemu przerażeniu, że skała, na której siedział, pokryta była niezliczoną ilością dużych, wstrętnych jaszczurek, znanych tylko w Kalifornji. Jedna z nich wylazła niezawodnie na niego i dostała się aż na szyję. Słabe światło pochodni podziałało bardzo dobrze na biednego Tomka, wlewając jakby nową krew w jego żyły. Zobaczył wprawdzie że i ściany jego więzienia żyją, dostrzegł bowiem na nich prócz jaszczurek i dużych niedźwiadków niezliczoną moc olbrzymich pająków i tarantul, na których widok krew ścinała się w żyłach — równocześnie jednak z blaskiem światła powróciła chęć do życia i zrodziło się pragnienie przekonania się, czy niema ratunku ze strasznego położenia. Dokoła niego błyszczało złoto, jak tysiące gwiazd; potrzebował tylko wyciągnąć ręce, ażeby zapewnić sobie posiadanie miljonów, a mimo to za bogactwa te w chwili obecnej nie był w stanie kupić sobie jednego tchnienia świeżego powietrza, nie mogły go one uratować od strasznej śmierci. Ukrył twarz w dłoniach i płakał rzewnemi łzami.

Często jednak, gdy nam się zdaje, że nas szczęście zupełnie opuściło, znajdujemy niespodziewaną pomoc i uspokojenie w przedmiotach, które przedtem wydawały się nam zgoła bezpożyteczne.

Po bliższem zbadaniu przekonał się, że mały strumyk, którego monotonny szmer tak przeraził jego chorobliwą fantazję, utworzył tuż koło niego, w odłamie skały, na której stał, małe zagłębienie, do którego mógł dostać się bez trudności. Nachylił się więc i wciągnął spory haust wody; następnie zwilżył sobie czoło i twarz. Zrobiło mu to bardzo dobrze i napełniło go nową otuchą. Przestał spoglądać rozpaczliwym wzrokiem na ściany więzienia, lecz owszem, rozważać zaczynał możliwość wydostania się zeń.

Ku niemałej swej uciesze przekonał się, że poniżej i powyżej odłamu skały, na którym stał, wznosiły się, równolegle do niego większe lub mniejsze, tworząc w ten sposób coś w rodzaju schodów. I aczkolwiek wdrapanie się z jednego odłamu na drugi było prawie niemożliwe, to jednak była to w jego położeniu jedyna droga, mogąca go doprowadzić do ocalenia. Postępować trzeba było jednak bardzo ostrożnie, bo skała była bardzo zwietrzała i za lada dotknięciem mniejsze i większe odłamy jej staczały się z łoskotem w przepaść. Z drugiej jednak strony stanowiło to dowód, że kamień jest miękki i że nie trudno będzie wykuć w nim schody, po których dostać się będzie można w górę. Tak, czy owak, czekała Tomka praca nietylko niebezpieczna, ale długa i żmudna, bo, co najmniej, sto stóp oddzielało go od powierzchni ziemi.

Z odwagą, jakiej dodaje rozpacz, zabrał się Tomek do pracy. Przy pomocy siekiery, która szczęśliwym trafem nie wpadła wraz z sznurem i oskardem w przepaść, udało mu się odrąbać wielki kawał skały, który mu ułatwił dostanie się na najbliższy, ponad nim się znajdujący cypel. Ażeby mu przypadkiem siekiera nie wpadła w przepaść, przywiązał ją do ręki szmatą, oddartą z koszuli. Praca postępowała bardzo powoli, w końcu jednak, po kilku godzinach znalazł się o 10 stóp bliżej otworu jaskini. Ale pochodnia wypaliła się przytem prawie zupełnie i jeżeli by chciał wogóle kiedykolwiek ujrzeć światło dzienne, to musiałby przy obecnym postępie roboty mieć przynajmiej 10 pochodni. A pozostało mu ich tymczasem zaledwie trzy; nie zraziło go to jednak i zabrał się z zdwojoną energją do pracy.

Następna warstwa skały, w której wybić musiał otwór, ażeby się przezeń dostać wyżej, była wprawdzie grubsza od poprzedniej, ale za to bardziej krucha; to też na przebicie jej nie potrzebował wiele więcej czasu niż poprzednio. W podobny sposób udało mu się przezwyciężyć 4 warstwy, przyczem wypalił dwie pochodnie. Czuł się jednak teraz tak zmęczonym i głodnym, że zanim się zabrał do dalszej roboty, musiał się koniecznie pożywić.

Któż jednak opisze jego przerażenie, gdy zamiast mięsa, którem mu miała napełnić worek żona Meksykańczyka, znalazł tylko nieco suchego chleba. Niezawodnie była to sprawka Meksykańczyka, ażeby go, jeżeli nie w ten to w inny sposób osunąć z drogi. Tomek czuł się jednak teraz na siłach do stoczenia nawet walki z głodem, zadowolnił się więc na razie kawałkiem suchego chleba, chowając skrzętnie resztę na później. Łyk wody górskiej pokrzepił mu siły. Z uczuciem radości, że znajduje się przynajmniej o 40 stóp bliżej świata, zgasił pochodnię i ułożył się do spoczynku. Mimo jaszczurek, niedźwiadków i tarantul usnął Tomek

wkrótce, budząc się po pewnym czasie z nowym zasobem odwagi i sił do dalszej pracy. Zdawało mu się teraz, że mrok, otaczający go nie jest tak gęsty, jak przedtem, mógł bowiem dokładnie rozróżnić połyskujące żyłki złota; a i gwiazdy na niebie nie świeciły tak jasno, jak przedtem. Okoliczność tę przypisywał nietylko temu, że się oczy jego przyzwyczaiły do otaczającej go ciemności, ale także, i to głównie temu, że znajdował się znacznie bliżej powierzchni ziemi.

Według obliczenia, przepędzić musiał dotąd w jaskini dzień i noc. Pokrzepiony na duchu, zapalił pochodnię i choć mu głód srodze dokuczał, zabrał się z zdwojoną energją do pracy. Warstwa, którą mu teraz przebić wypadało, była znacznie grubsza i twardsza od poprzednich ale za to tak zasobna w żyły złota, że Tomek nie mógł się wstrzymać, ażeby nie napełnić niem jednego przynajmniej worka. Teraz nie wątpił już ani na chwilę, że Opatrzność czuwa nad nim i, że pozwoli mu ujrzeć jeszcze ziemię i wymierzyć sprawiedliwość mordercy.

Zabierał się właśnie do roboty, gdy uczuł, że mu na ręku usiadła jedna z tych wstrętnych tarantul, których ukąszenie przyprawia o śmierć niechybną. Wstrząsnął silnie ręką, zapominając w strachu, że umocowaną ma na niej siekierę. Nieostrożność tę przypłacił utratą jedynego narzędzia, które mu dotąd torowało drogę do ocalenia.

Usłyszawszy łoskot upadającej na dno jaskini siekiery — struchlał; — zdawało mu się, że wraz z utratą jej pierzchła w jednej chwili ostatnia nadzieja ratunku, który niedawno jeszcze uważał prawie za pewny. Nieszczęście to nowe spotkało go — myślał — jako słuszna kara za chciwość, z jaką zbierał złoto w chwili, gdy każda niemal sekunda rozstrzygała o ocaleniu. Ukrył twarz w dłoniach i płakał, jak dziecko.

Po chwili zerwał się. Nie, gdy utracił, jak myślał, ostatnią deskę ratunku, gdy mu pozostała jedna dopalająca się pochodnia i kilka zaledwie kawałków chleba, nie wolno mu oddawać się rozpaczy. Teraz zdobyć się musi na większą jeszcze niż dotąd energję, bo ta rozstrzygać będzie o życiu lub śmierci. Nie pozostawało mu teraz nic innego, jak powierzyć życie swoje własnej sile i zręczności i przy pomocy jedynie rąk i nóg dostać się na następny odłam skały.

Plan to był równie trudny jak niebezpieczny; nad nim skała prawie prostopadła, pod nim przepaść bezdenna, gotowa każdej chwili przyjąć nową ofiarę.

Nie było jednak czasu do długiego namysłu. Westchnąwszy do Boga, zebrał się do niebezpiecznej wędrówki. Kilka razy zdawało mu się, że już, już, runie w przepaść, w końcu jednak, po półgodzinnym strasznym wysiłku, z rękoma i nogami poranionemi do kości, stanął na odłamie skały. Był jednak tak wyczerpany, że o dalszej wędrówce na razie myśleć nawet nie mógł. Wyciągnął się na skale i usnął.

Jak długo spał, nie wiedział sam; po przebudzeniu się uczuł dotkliwy ból w prawem ramieniu. Na razie przypuszczał, że było to skutkiem wysiłku przy wdrapywaniu się na skałę, po bliższem jednak zbadaniu przekonał się, że ból pochodzi od ukąszenia przez niedźwiadka. Opuchnięte ramię obezwładniało go zupełnie i nie pozwalało nawet myśleć o dalszym ratunku, choć, o ile z blasku gwiazd, świecących nad nim mógł sądzić, znajdował się o jakie 20 stóp od powierzchni ziemi. Ostatni cios dobił go zupełnie i odebrał mu resztkę odwagi. Nie pozostawało mu nic innego, jak oczekiwać z rezygnacją śmierci głodowej. O przedostaniu się na następną warstwę skały myśleć nawet wobec bólu nie mógł, a któż mógł wiedzieć, kiedy ból ten przejdzie. Gdybyż mógł posunąć się bodaj jeszcze kilka stóp wyżej, byłby uratowany; zwieszające się konary drzew pozwoliłyby mu nawet przy pomocy jednego ramienia dostać się na powierzchnię ziemi. Ale od konarów tych oddzielało go jeszcze kilka stóp, na których przebycie brak mu było sił. Sięgnął do worka, chcąc się przekonać, na wiele mu jeszcze żywności starczy; zostało mu zaledwie 2 kawałki chleba. Pochodni nie miał wcale, ale ta była nawet zbyteczna, z góry bowiem dochodziło tu już światło dzienne.

Tomka opanował żal bezbrzeżny. Jakto, umierać więc miał w chwili, gdy go tak niewielka przestrzeń oddzielała od upragnionej powierzchni ziemi! Co chwila przyglądał się bolącemu ramieniu, czy przypadkiem opuchnięcie nie zmniejsza się? Gdzietam, przeciwnie, wzrastało ciągle.

Nie ulegało już wątpliwości, że biedny To-

mek stracony. Bo gdyby nawet po upływie 1 lub 2 dni ból ramienia ustąpił, to biedak czułby się tak wyczerpanym, że o wydostaniu się na górę niemógł nawet marzyć. Zaczął się już nawet oswajać z tą przykrą myślą Zrozumiał dobrze, że tu nic łzy ani rozpacz nie pomogą.

Nadchodziła noc, postanowił więc ułożyć się do spoczynku, a nazajutrz próbować ostatniego środka, a mianowicie wzywać głośno ratunku; może Bóg da, że jaki zbłąkany przechodzień usłyszy wołanie i uwolni go z strasznego położenia. A może noc dobroczynna przyniesie mu inną jaką radę.

Długo usnąć nie mógł; ból okrutny dokuczał mu. W końcu jednak znużone powieki zaczęły się kleić i Tomek pogrążył się w śnie głębokim.

Gdy się obudził, był już dzień zupełny. Spoczynek pokrzepił go, a i ramię jakby mniej bolało. Tomek jakby zapomniał o swojem położeniu, bo zabierając się do spożycia śniadania, składającego się z kawałka suchego chleba, pogwizdywał wesoło. Otucha wstępowała weń; być może, że ból ustąpi prędzej, niż przypuszczał, a wtedy... ocalenie pewne.

Zaczął się z całym spokojem przyglądać wiszącemu nad sobą odłamowi skały, obliczając w myśli, ile czasu będzie potrzebował na przedostanie się nań.

Lecz cóż to wystaje tam z szczeliny? Przez chwilkę zdawało mu się, że to oskard. Przeciera oczy... nie, nie myli się... za chwilę trzyma w ręku oskard, pozostawiony tu w pospiechu przez Meksykańczyka.

Z uczuciem niewysłowionej radości pada Tomek na kolana i dziękuje gorąco Opatrzności, że zesłała mu ratunek właśnie przez tego, który był sprawcą całego nieszczęścia.

Nienamyślając się ani chwili, zabrał się do roboty, o tyle cięższej, że posługiwać się musiał przy niej jedną tylko ręką. Po kilku godzinach znalazł się na odłamie skały, oddalonym zaledwie o kilkanaście stóp od powierzchni ziemi.

Zmęczył się jednak tak bardzo, że blizki był omdlenia. Myśl, że musiałby jedną jeszcze noc przepędzić w tej piekielnej jaskini, dodała mu sił. Dobywając ostatka ich zaczął, chwytając się konarów drzew, których tu już było wiele, wspinać się coraz wyżej, pomagając sobie, o ile mógł, zbolałem ramieniem. Po pewnym czasie, przy użyciu nadludzkiego wysiłku, uczuł wreszcie, że zbliża się do powierzchni ziemi i że lada chwila znajdzie się na niej, bezpieczny już zupełnie.

I w chwili gdy właśnie wychylał głowę ponad otwór jaskini, usłyszał za sobą złowrogie „Caramba!“ Dreszcz wstrząsnął nim, wiedział bowiem dobrze, z czyich ust wyszło to przekleństwo. To Meksykańczyk, dręczony niepokojem, przybył tu, ażeby się przekonać, czy duchy pomordowanych nie przemówią i nie zdradzą go. Stał właśnie po przeciwnej stronie jaskini z lufą wymierzoną prosto w serce biednego Tomka. Z piersi Tomka wyrwał się straszny okrzyk i równocześnie padł strzał. Meksykańczyk przerachował się jednak; skutkiem doznanego wrażenia, na widok tego, którego miał już za zmarłego, zadrżała mu ręka, strzał chybił. Zanim morderca miał czas nabić broń powtórnie, stanął przy nim Tomek z dobytym nożem.

Rozpoczęła się teraz walka, walka straszna, którą jeden z walczących musiał przypłacić życiem. Meksykańczyk długi czas był górą, w końcu jednak Tomek któremu wspomnienie strasznych cierpień dodawało sił, uchwycił przeciwnika za gardło i jednym śmiałym rzutem strącił go w przepaść.

Wyczerpanie i wzruszenie zwaliło go jednak z nóg; nie był w stanie postąpić kroku naprzód. Ułożył się na murawie z mocnem postanowieniem pozostania tu dopóty, dopóki choć w części nie odzyska sił, zużytych w strasznej walce ze śmiercią. Nieopodal wejścia do jaskini znalazł szczęśliwym wypadkiem worek zmarłego towarzysza swego z żywnością. Posiliwszy się, usnął. Nazajutrz obudził się znacznie silniejszy. Nie chcąc się spotkać z żoną Meksykańczyka, udał się wprost do San Francisco, zkąd parowiec przewiózł go do kraju rodzinnego.

O zdarzeniu, które go spotkało w jaskini niedźwiadków, opowiadał niechętnie. Na pytania ciekawych odpowiadał tylko: „Nie daj Boże nikomu, ażeby musiał zdobycie bogactw okupywać takiem cierpieniem!“

KONIEC.

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskiego w Gródku.